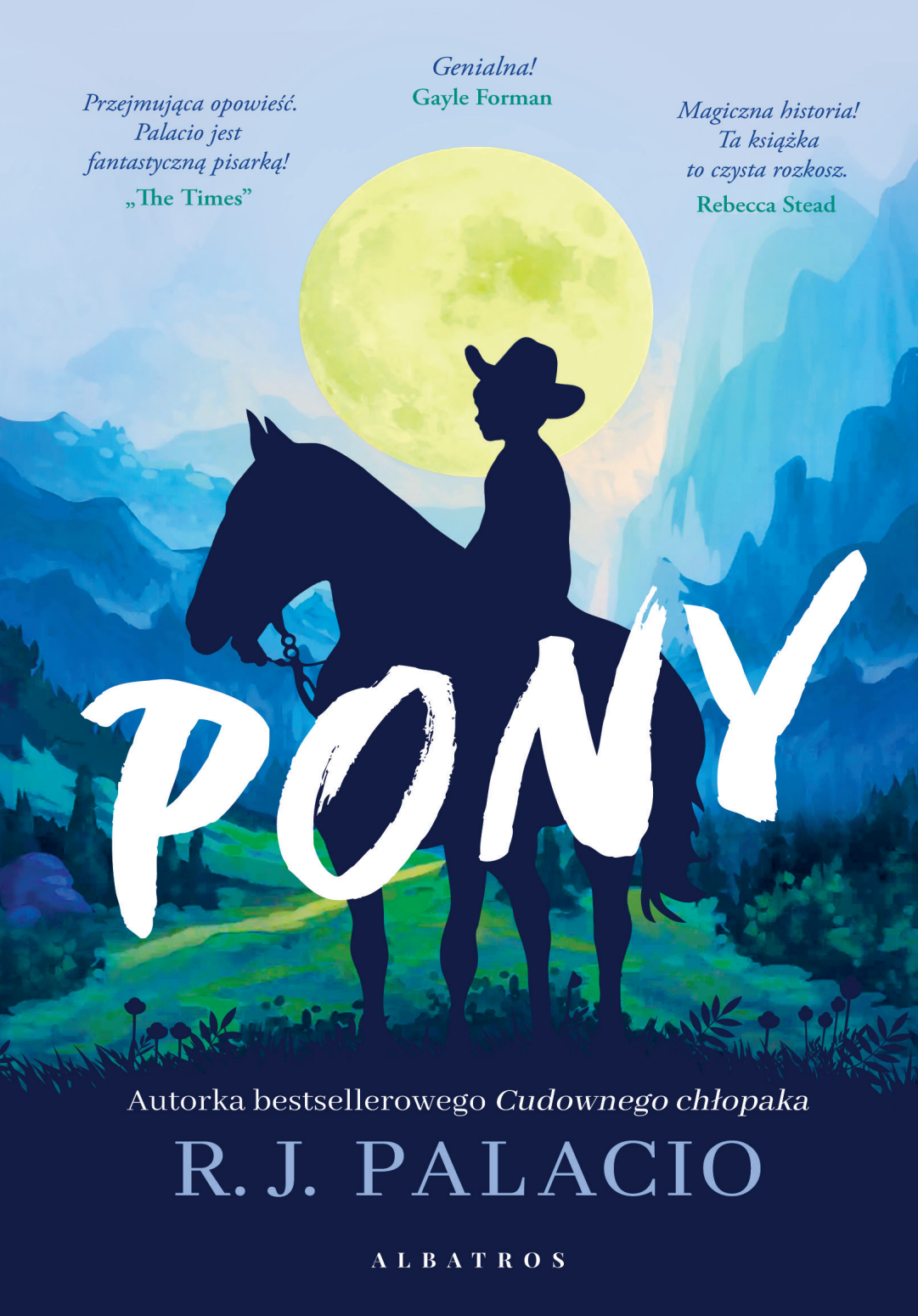


*Przejmująca opowieść.
Palacio jest
fantastyczną pisarką!*
„The Times”

Genialna!
Gayle Forman

*Magiczna historia!
Ta książka
to czysta rozkosz.*
Rebecca Stead



PONY

Autorka bestsellerowego *Cudownego chłopaka*

R. J. PALACIO

ALBATROS

Tytuł oryginału:
PONY

Copyright © 2021 R.J. Palacio

All rights reserved

Published in the United States by Alfred A. Knopf, an imprint of Random House
Children's Books, a division of Penguin Random House LLC, New York.
Knopf, Borzoi Books, and the colophon are registered trademarks
of Penguin Random House LLC.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Maria Olejniczak-Skarsgård 2023

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Justyna Nawrocka

Ilustracje na okładce: LEOcraft/DigitalVision Vectors/Getty Images (*góry i księżyc*);
freepik.com (*trawa*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



„Boneville Courier” z 27 kwietnia 1858 roku

Niedawno przeszła nad Boneville potężna burza. Dziesięcioletni chłopiec, zamieszkały nieopodal miasteczka, wracał do domu i ledwie zdążył schronić się pod dużym dębem, gdy w drzewo uderzył piorun. Chłopiec padł bez przytomności na ziemię; z jego ubrania pozostały osmalone strzępy. Jednak los uśmiechnął się do dziecka. Świadkiem zdarzenia był ojciec, który zachował przytomność umysłu i ocucił syna, posłużwszy się miechem do rozpala-
nia kominka. Chłopiec nie zmienił się pod wpływem tego przeżycia, a na pamiątkę pozostał mu jedynie ślad na plecach: rysunek drzewa! Piorun stworzył dagerotypowy obraz, by tak rzec - nie pierwszy to udokumentowany przypadek w ostatnich latach, budzący zdumienie i zaciekawienie uczonych.

1

Moja potyczka z piorunem sprawiła, że tato zaczął zgłębiać technikę fotografowania. Taki był początek tego wszystkiego.

Fotografia od zawsze interesowała mojego tatę jakoś tak naturalnie. Pewnie wzięło się to stąd, że pochodził ze Szkocji, gdzie tego rodzaju sztuka jest w rozkwicie. Dawniej robił dagerotypy, ale zajmował się nimi przez krótki czas, gdy osiadł w Ohio, bogatym w źródła słonej wody (z której otrzymuje się brom, niezbędny do wywoływania zdjęć). Robienie dagerotypów wiąże się jednak z kosztami i przynosi niewielki zysk. Taty nie było stać na prowadzenie takiego interesu. „Ludzie nie będą wydawać pieniędzy na wyrafinowane pamiątki”, mówił. Dlatego został szewcem. Uważał, że „buty każdemu są potrzebne”. Wprawił się w szyciu butów z miękkiej skóry licowej, sięgających połowy łydki, które miały w obcasie ukryty schowek na tytoń albo scyzoryk. Klientom ogromnie podobało się to udogodnienie, a my całkiem dobrze żyliśmy ze sprzedaży butów. Tato miał warsztat w szopie obok stodoły i raz w miesiącu jeździł do Boneville

wozem wyładowanym butami i zaprzężonym w naszego muła o imieniu Muł.

Po tym, jak piorun zostawił mi na plecach obrazek dębu, tato znowu zainteresował się techniką fotografowania. Powszechnie uważano, że rysunek na mojej skórze powstał wskutek reakcji chemicznych, takich samych, jakie zachodzą przy robieniu zdjęć. „Ciało człowieka – tłumaczył mi tato, kiedy przyglądałem się, jak miesza chemikalia zalatujące zgniłym jajkiem i octem jabłkowym – jest naczyniem, które zawiera tajemnicze substancje i podlega prawom fizycznym, podobnie jak wszystko we wszechświecie. Jeżeli na ciele może zachować się obraz za pomocą światła, to również na papierze da się go zachować w ten sam sposób”. Z tego powodu przestał robić dagerotypy i zainteresował się nową techniką, która polegała na tym, że używało się papieru nasączonego roztworem soli żelazowej i przy wykorzystaniu światła słonecznego wykonywało się pozytywy ze szklanego negatywu.

Tato szybko posiadał tę umiejętność i zyskał uznanie jako fachowiec w dziedzinie stosowania tak zwanej techniki kolodionowej, prawie nieznanej w naszych stronach. To przedsięwzięcie wymagało śmiałości i wielu eksperymentów, ale rezultat zachwycił urodą. Obrazy na ferrotypach – tak je nazywał tato – nie były równie wyraźne jak na dagerotypach, za to odznaczały się subtelnym cieniowaniem, jak na rysunku węglem. Tato sam sporządził recepturę zwiększającego czułość na światło roztworu, który zawierał właśnie brom. Z czasem złożył wniosek o patent i otworzył zakład fotograficzny w Boneville, niedaleko budynku sądu. Ani się obejrzał, a portrety na papierze pokrytym pyłkiem

żelaza stały się krzykiem mody w naszej okolicy – nie tylko były o niebo tańsze od dagerotypów, ale również można było wykonać wiele kopii z jednego negatywu. Dla większego efektu, a także zarobku, tato kolorował portrety specjalną farbą, którą robił z roztrzepanych jajek i wody albo mleka oraz barwników. Podobieństwo do żywych osób było wprost niewiarygodne. Klienci ściągali zewsząd. Żeby pozować, pewna elegancka pani przyjechała aż z Akron. Chętnie pomagałem tacie przy pracy, czy to pilnując, żeby przez świetliki wpadało odpowiednio dużo światła słonecznego, czy to czyszcząc płachty rozpraszające światło. Zdarzało się nawet, że tato pozwalał mi polerować mosiężne obudowy nowych obiektywów do zdjęć portretowych. Był to kosztowny zakup, więc należało pracować uważnie. Zastanawiając się, z czego będziemy żyli, tato pomyślał wtedy o sprzedaniu warsztatu szewskiego, ponieważ bardziej podobał mu się „zapach chemicznych mieszanek niż ludzkich stóp”.

Właśnie w tym czasie, któregoś dnia przed świtem, przybyli do nas trzej jeźdźcy z konikiem o białym pysku i na zawsze zmienili nasze życie.

2

To Mitebald wyrwał mnie z głębokiego snu tamtej nocy.

– Silasie, obudź się. Ktoś tu jedzie – powiedział.

Skłamałbym, mówiąc, że zerwałem się na równe nogi, usłyszawszy nagłą ton jego głosu. Nic podobnego. Tylko wymamrotałem

coś pod nosem i przewróciłem się na drugi bok. Wtedy mocno mnie szturchnął, choć dla niego jest to nie lada wyczyn. Duchy z trudem poruszają się w świecie materialnym.

– Daj mi spać – burknąłem.

Wtedy Argos zaczął wyć jak potępieniec. Usłyszałem, że tato odciąga kurek strzelby. Spojrzałem przez okienko obok łóżka, ale noc była czarna jak smoła i nic nie widziałem.

Mitebald, mrużąc oczy, patrzył mi przez ramię w okienko.

– Jest ich trzech – dodał.

– Tato! – krzyknąłem, zeskakując z poddasza.

Tato był w gotowości: włożył już buty i stał przy oknie od frontu.

– Nie podchodź, Silasie – rzucił ostrzegawczym tonem.

– Mam zapalić lampę?

– Nie. Widziałeś z góry? Ilu ich jedzie?

– W ciemności nic nie widać, ale Mitebald mówi, że jest ich trzech.

– Mają w rękach broń – wtrącił Mitebald.

– Z bronią w rękach – powiedziałem. – Czego oni chcą?

Tato milczał. Słyszeliśmy coraz głośniejszy tętent koni. Tato uchylił drzwi wejściowe, trzymając w pogotowiu strzelbę. Włożył płaszcz, po czym odwrócił się w moją stronę.

– Nie wychodź z domu. Pod żadnym pozorem – nakazał stanowczo. – Jeżeli dojdzie do awantury, biegnij do Havelocka. Tylnym wyjściem, przez pola. Zrozumiałeś?

– Chyba nie wyjdiesz do nich?

– Przytrzymaj Argosa. Nie wypuszczaj go na dwór.

Złapałem psa za obrozę.

– Chyba nie wyjdiesz do nich? – zapytałem ponownie, już ze strachem.

Nie odpowiedział, tylko otworzył drzwi i stanął na ganku, mierząc ze strzelby w nadjeżdżających ludzi. Odważnym człowiekiem był ten mój tato.

Przyciągnąłem do siebie Argosa i podczołgałem się do okna od frontu. Ostrożnie wyjrzałem. Rzeczywiście zbliżali się jeźdźcy. Było ich trzech, tak jak mówił Mitebald. Za nimi szedł truchtem czwarty koń, ogromny kary rumak, a obok niego konik z białym pyskiem.

Mężczyźni wolno podjeżdżali pod dom, z powodu strzelby taty. Ich przywódca, człowiek w żółtym płaszczu, na nakrapianym koniu, zatrzymał się niecałe piętnaście metrów od ganku i uniósł ręce w pokojowym geście.

– Czołem – zwrócił się do taty. – Możesz odłożyć broń. Przybywamy w pokoju.

– Najpierw wy to zróbcie – powiedział tato, przykładając strzelbę do ramienia.

Mężczyzna udał zdziwienie: spojrzał na swoje puste dłonie, a potem w lewo i w prawo na towarzyszy, jakby zaskoczył go widok wyciągniętej broni w ich rękach.

– Odłóżcie pukawki, chłopaki! Nieładnie to wygląda – rzucił od niechcienia. – Przepraszam. Nie mają złych intencji. Siła nawyku.

– Kim jesteście? – zapytał tato.

– Nazywałeś się Mac Boat?

Tato pokręcił głową.

– Kim jesteście? – powtórzył. – Dlaczego robicie taki na-
jazd, i to w środku nocy?

Człowiek w żółtym płaszczu ani trochę nie przestraszył się strzelby taty. W ciemności widziałem go niewyraźnie, ale wzrostem mu nie dorównywał (tato zaliczał się do najwyższych mężczyzn w Boneville). Za to tamten był młodszy. Nosił melonik jak dzentelmen, mimo to miałem wrażenie, że nim nie jest. Wyglądał na zbója. Ze szpiczastą bródką.

– Spokojnie. Nie denerwuj się – powiedział lekkim tonem. – Zamierzaliśmy przyjechać o wschodzie słońca, tyle że droga minęła nam szybciej. Nazywam się Rufe Jones, a ci dwaj to Seb i Eben Mortonowie. Nie da się ich odróżnić, więc nie próbuj.

Dopiero wtedy zauważyłem, że tamte dwa wielkoludy są identyczne, i nawet meloniki mieli takie same, z rondami nasuniętymi nisko na twarze okrągłe jak księżyc w pełni.

– Mamy dla ciebie interesującą propozycję od naszego szefa, Roscoe’a Ollerenshawa – oznajmił. – Na pewno go znasz.

Tato nie zareagował.

– Pan Ollerenshaw słyszał o tobie, Mac Boacie – mówił dalej Rufe Jones.

– Kto to taki ten Mac Boat? – szepnął mi do ucha Mitebald.

– Nie znam żadnego Mac Boata – oświadczył tato, wciąż trzymając strzelbę przy ramieniu. – Nazywam się Martin Bird.

– No tak, Martin Bird, fotograf. – Rufe Jones pokiwał głową. – Pan Ollerenshaw dobrze zna twoje prace! Dlatego tu

jesteśmy. Chce ci zaproponować pewien interes. Za nami szmat drogi, jedziemy całą noc. Może byś nas zaprosił do środka? Przemarzęm do kości. – Na dowód postawił kołnierzą płaszcz.

– Jeżeli chcecie porozmawiać o interesach, zajdźcie do mojego zakładu w ciągu dnia, jak kulturalni ludzie – odrzekł tato.

– Po co od razu przyjmować taki ton? – rzucił Rufe Jones, jakby trochę zmieszany. – Charakter naszego przedsięwzięcia wymaga dyskrecji, i tyle. Nie mamy wobec ciebie złych zamiarów, podobnie jak wobec twojego syna Silasa. To on czai się przy oknie za twoimi plecami, prawda?

Z trudem przełknąłem ślinę, muszę przyznać, i przesunąłem się w bok. Mitebald, stojący z tyłu, szturchnął mnie na znak, żebym kucnął niżej.

– Daję wam pięć sekund, żebyście wynieśli się z mojej ziemi – oświadczył tato z całą stanowczością.

Ale Rufe Jones pewnie nie wyczuł groźby w jego głosie, bo skwitował to śmiechem.

– Już dobrze, nie ma się co denerwować – powiedział spokojnie. – Tylko informuję! Pan Ollerenshaw wysłał mnie po ciebie, a ja wykonuję polecenie. Jak mówiłem, on nie ma złych zamiarów. Co więcej, chce ci pomóc. Mam ci przekazać, że nieźle na tym zarobisz. „Sporą sumkę”, tak się wyraził. Dla ciebie to drobna fatyga. Tydzień popracujesz i będziesz bogaty. Nawet przyprowadziliśmy ci wierzchowca! Pojedziesz na tym ładnym dużym, a twój syn na tym uroczym małym. Pan Ollerenshaw jest miłośnikiem koni, więc powinien ci się zaszczycony, że zaoferował ci swoje piękne rumaki.

– Nie interesuje mnie ta propozycja. Macie trzy sekundy, żeby się wynieść. Dwie...

– No dobrze, dobrze... – Rufe Jones machnął ręką. – Jedziemy. Nie denerwuj się. W drogę, chłopcy.

Ściągnął wodze i skrzył koniem; bracia zrobili to samo, a za nimi ruszyły dwa wierzchowce. Powoli oddalali się w mrok nocy. Po kilku krokach Rufe Jones stanął. Wyciągnął ręce w bok, jak ukrzyżowany, pokazując, że wciąż nie ma broni, i obejrzał się przez ramię.

– Jeszcze tu wrócimy – oznajmił – większą grupą. Wiedz, że pan Ollerenshaw nie rezygnuje tak łatwo. Dzisiaj przyjechałem w pokojowych zamiarach, ale nie obiecuję, jak będzie jutro. Pan Ollerenshaw dostaje to, czego chce.

– Sprowadzę szeryfa – ostrzegł go tato.

– Naprawdę pan to robi, panie Boat? – Jego głos już nie brzmiał lekko, wyczuwało się w nim groźbę.

– Nazywam się Bird – sprostował tato.

– No tak, Martin Bird, fotograf z Boneville, który mieszka gdzieś na pustkowiu z synem, Silasem Birdem. – Z naciskiem wymówił nasze nazwisko.

– Zabierajcie się stąd – wycodził tato.

– Dobra – powiedział Rufe Jones, ale nie spiął konia.

Razem z Mitebaldem patrzyłem na nich, wstrzymując oddech. Mijały sekundy. Wszyscy stali nieruchomo. Nie padło ani jedno słowo.

– Kłopotliwa sytuacja – odezwał się Rufe Jones, nadal trzymając ręce rozłożone na boki. Jego głos znów brzmiał melodyjnie. – Musielibyśmy jeszcze raz pokonać tę odległość i przedrzeć się przez Bór tylko po to, żeby wrócić tu jutro w kilkunastu chłopów uzbrojonych po zęby. Bóg raczy wiedzieć, co się wydarzy, gdy tyle luf jest gotowych do strzału. Wiadomo, jak to bywa. Nieszczęście gotowe. Ale jeżeli dzisiaj pan z nami pojedzie, panie Boat, unikniemy nieprzyjemności.

Podniósł ręce dłońmi do przodu.

– Nie przeciągajmy sprawy – mówił dalej. – Ty i twój syn odbędziecie miłą przejażdżkę na tych wspaniałych koniach. Po tygodniu odwieziemy was z powrotem. Uroczyście obiecuje wam to sam wielki szef. Kazał mi dokładnie tak powiedzieć. Że uroczyście obiecuje. Zrobisz świetny interes, Mac Boacie. Co ty na to?

Tato nadal w niego celował, trzymając palec na spuście. Zaciśnął zęby. Takiego jeszcze go nie widziałem: obca twarz, spięta, kanciasta postać. Był nie do poznania.

– Nie nazywam się Mac Boat – powiedział wolno i dobitnie. – Jestem Martin Bird.

– No tak, oczywiście, Martin Bird! Najmocniej przepraszam. – Rufe Jones uśmiechnął się szeroko. – Jakkolwiek się nazywasz, co ty na to? Nie róbmy awantury. Odłóż broń i jedź z nami. Tydzień szybko minie. Wrócisz jako bogaty człowiek.

Tato zastanawiał się długą chwilę. Czułem, jakby zamknęła się w niej cała przyszłość. W pewnym sensie tak było, bo ta chwila na zawsze zmieniła moje życie. Tato opuścił broń.

– Co on robi? – szepnąłem do Mitebalda, przerażony jak nigdy wcześniej.

Miałem wrażenie, że serce przestało mi bić, że świat przestał oddychać.

– Dobrze. Pojadę z wami – powiedział cicho tato, ale jego słowa przeszły nocną ciszę jak grom. – Pod warunkiem że nie będziecie w to mieszać mojego syna. Zostanie tutaj, cały i zdrowy. Nikomu nie powie o tym ani słowa. I tak nikt tu nie zagłąda. A ja wrócę za tydzień. Mam na to uroczystą obietnicę Ollerenshawa, jak mówiłeś. Za tydzień, co do dnia.

– No, nie wiem... – burknął Rufe Jones, kręcąc głową. – Pan Ollerenshaw kazał sprowadzić was obu. Wyrażnie to zaznaczył.

– Powtarzam: tylko pod tym warunkiem spokojnie pojadę dzisiaj z wami – odparł stanowczo tato. – W przeciwnym razie rzeczywiście dojdzie do awantury albo tu i teraz, albo gdy znowu przyjedziecie. Dobrze strzelam i radziłbym nie wystawiać mnie na próbę.

Rufe Jones zdjął melonik i potarł czoło. Spojrzał na swoich towarzyszy, ale ci nie odezwali się, może wzruszyli ramionami. W mroku widziałem tylko ich płaskie białe twarze.

– Niech ci będzie. Załatwimy to spokojnie – rzekł Rufe Jones. – Pojedziesz sam. Ale ruszymy natychmiast. Rzuć mi strzelbę i wreszcie z tym skończmy.

– Oddam broń, dopiero gdy dojedziemy do Boru.

– W porządku. Jedziemy.

Tato kiwnął głową.

– Wezmę swoje rzeczy.

– Nic z tego! Nie nabierzesz mnie na jakieś sztuczki! – wykrzyknął Rufe Jones. – W drogę! Wsiadaj na konia i jazda albo nasza umowa jest nieważna.

– Tato! Nie! – wrzasnąłem i popędziłem do drzwi.

Tato odwrócił się w moją stronę i znowu nie mogłem go poznać. Wyglądał, jakby zobaczył diabła. Oczy miał zwężone. Aż się przeląkałem.

– Zostań w domu, Silasie. – Mierząc we mnie palcem, powiedział to tak surowo, że stanąłem jak wryty na progu. Nigdy dotąd nie mówił do mnie takim tonem. – Nic mi się nie stanie. A ty masz się stąd nie ruszać. Pod żadnym pozorem. Wróć za tydzień. Jedzenia ci starczy. Dasz sobie radę. Zrozumiałeś?

Milczałem. Nie mogłem wykrztusić słowa, nawet gdybym chciał.

– Zrozumiałeś, Silasie? – powtórzył głośniej.

– Ale, tato... – wymamrotałem błagalnie.

– Tak ma być – odrzekł. – Tutaj nic ci nie grozi. Zobaczymy się za tydzień, co do dnia. Wracaj do domu, no już.

Zrobiłem, jak kazał.

Podszedł do mężczyzn i wskoczył na wielkiego czarnego rumaka. Nawet na mnie nie spojrział, tylko odwrócił konia i pogalopował. W jednej chwili pochłonęła ich noc.

I tak tato poszedł na służbę do okrytego złą sławą gangu fałszerzy. Ale wtedy o tym nie wiedziałem.

Nie wiem, jak długo stałem w drzwiach i patrzyłem na grzbie-ty wzgórz, za którymi zniknął tato. W końcu niebo zaczęło się rozjaśniać.

– Wejść do środka i usiądź, Silasie – powiedział łagodnie Mitebald.

Pokręciłem głową. Bałem się oderwać wzrok od miejsca w oddali, gdzie zniknął tato. Wydawało mi się, że gdybym stracił je z oczu, nie potrafiłbym znowu go odnaleźć. Teren wokół naszego domu jest płaski, tylko od wschodu lekko się wznosi, a za wzgórzami ciągnie się Bór, pradawna puszcza otoczona gąszczem drzew żelaznych, przez którą nie przecisnąć się nawet mały wóz z zaprzęgiem. Tak przynajmniej powiadają.

– Usiądź, Silasie – usłyszałem znowu głos Mitebalda. – Teraz nic nie poradzimy. Trzeba czekać. On za tydzień wróci.

– A jeśli nie? – wyszeptałem ze łzami.

– Wróci, Silasie. Tato wie, co robi.

– Czego oni od niego chcą? Kim jest ten pan Oscar Rencóś-tam? Kto to taki ten Mac Boat? Nic z tego nie rozumiem.

– Tato na pewno wszystko wyjaśni po powrocie. Po prostu musisz poczekać.

– Cały tydzień! Cały tydzień! – Rozpłakałem się i straciłem z oczu miejsce, gdzie zniknął tato.

Odwrociłem się do Mitebalda. Siedział obok stołu, pochylo-ny do przodu, z łokciami na kolanach. Wyglądał żałośnie, choć starał się nie okazywać przygnębienia.

– Poradysz sobie – powiedział z przekonaniem. – Będę przy tobie. Razem z Argosem. Dotrzymamy ci towarzystwa. Wszystko będzie dobrze. Ani się obejrzysz, a tato wróci.

Spojrzałem na psa, zwiniętego w kłębek na posłaniu w pięknej dzieży do wyrabiania ciasta. Był walecznym zwierzątkiem, o czym świadczył brak jednego ucha i przetrącona łapa.

Przeniosłem wzrok z powrotem na Mitebalda: miał uniesione brwi i pokrzepiającą minę. Mówiłem, że Mitebald jest duchem, ale nie jestem pewien, czy to słowo właściwie go określa. Widmo. Zjawa. W gruncie rzeczy nie wiem, jak go nazwać. Tato uważa, że on jest kimś w rodzaju wymyślnego przyjaciela. Moim zdaniem nie ma racji. Mitebald jest prawdziwy, tak jak prawdziwe jest krzesło, na którym siedzi, dom, w którym mieszkamy, i nasz pies. Oprócz mnie nikt go nie widzi ani nie słyszy, ale to nie znaczy, że nie jest prawdziwy. W każdym razie gdyby ktoś mógł go zobaczyć albo usłyszeć, powiedziałby, że to chłopiec mniej więcej szesnastoletni, wysoki i chudy, z błyszczącymi oczami, ciemną zmierzwioną czupryną i radosnym śmiechem. Jest moim towarzyszem, odkąd pamiętam.

– Co ja teraz zrobię? – jęknąłem.

– Chodź tutaj. – Wskazał krzesło przy stole. – Zjedz śniadanie i napij się gorącej kawy. Potem zastanowimy się nad sytuacją. Zobaczymy, ile jedzenia jest w szafkach, i podzielimy wszystko na siedem dni, żeby nam nie zabrakło. Wydoimy Muu, zbierzemy jajka i podrzucimy trochę siana Mułowi. Będziemy robić to co zwykle.

Słuchałem, siedząc przy stole naprzeciwko niego.

– Będzie dobrze, zobaczysz. – Pochylił się ku mnie i posłał mi krzepiący uśmiech.

Kiwnąłem głową. Tak bardzo starał się dodać mi otuchy, że nie chciałem sprawić mu zawodu, ale w głębi duszy wcale nie byłem przekonany, że wszystko będzie dobrze. Okazało się, że miałem rację. Kiedy wydoilem Muu, zajrzałem do kurnika, nakarmiłem Muła i przyniosłem wodę ze studni, poszliśmy do spiżarni. Podzieliliśmy jedzenie na każdy dzień tygodnia, a potem zamiotłem podłogę i połupałem drewno na szczapki. Postanowiliśmy zrobić naleśniki, których w końcu nie zjadłem, bo nie miałem apetytu i zbierało mi się na mdłości od przełykanych łez. Wtedy wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że przed domem stoi konik o białym pysku.

5

W świetle dnia nie był taki mały jak w mroku nocy. Być może wydawał mi się mały w porównaniu z tamtymi wielkimi końmi, bo ja wiem? Teraz, kiedy pasł się przy osmolonym dębie, wyglądał jak koń normalnej wysokości. Lśniąca w słońcu czarna sierść, umięśniona szyja wygięta w łuk, no i ten biały pysk – naprawdę niezwykły widok.

Wyszedłem na dwór i rozejrzałem się. Nikogo nie było – ani taty, ani mężczyzn, którzy z nim odjechali. Wszędzie zalegała znajoma cisza. Późnym rankiem trochę popadało, ale teraz na niebie było zaledwie kilka chmur, rozciągniętych i rzadkich jak dym.

Kiedy zbliżałem się do konika, Mitebald szedł tuż za mną. Czując jego obecność, zwierzęta są zwykle rozdrażnione, ale konik spoglądał z zaciekawieniem. Miał mały pysk, długie czarne rzęsy i jasnoniebieskie oczy, rozstawione szeroko jak u jelenia.

– Czołem, kolego – powiedziałem cicho, lekko poklepując go po szyi. – Co tu znowu robisz?

– Podejrzewam, że nie nadążył za dużymi końmi – odezwał się Mitebald.

– Tak było? – zapytałem konika, a on spojrzał na mnie. – Zostałeś w tyle czy puścili cię wolno?

– Dziwne stworzenie.

Kiedy tak patrzył, wprost na mnie, poczułem do niego sympatię.

– Moim zdaniem jest piękny.

– Jego łeb przypomina czaszkę.

– Myślisz, że oni odesłali go po mnie? – spytałem. – Chcieli, żebym pojechał razem z tatą, ale pozwolili mi zostać. Może potem zmienili zdanie.

– Jak ten konik by tu trafił?

– Tak tylko się zastanawiam. – Wzruszyłem ramionami.

– Zobacz, czy jest coś w sakwie.

Zajrzałem do środka, ostrożnie, żeby nie wystraszyć konika, ale nadal mi się przyglądał, ani nieśmiało, ani lękliwie.

Sakwa była pusta.

– Może Rufe Jones wysłał jednego z braci z konikiem, na którym miał mnie przywieźć. Ale po drodze coś mu się

przytrafiło, na przykład spadł ze swojego wierzchowca, i konik pobiegł dalej sam.

– To możliwe, ale nie wyjaśnia, jak tutaj trafił.

– A jeśli po prostu trzymał się tej samej drogi, którą przebył w nocy? – rozważałem na głos. Zanim dokończyłem zdanie, coś mi wpadło do głowy. – A może to był tato! – wykrzyknąłem. – Posłuchaj, Mitebaldzie. Tato uciekł tym ludziom. Wracał do domu, do mnie, ale ten wielki czarny koń go zrzucił... a konik pobiegł dalej.

– To bez sensu.

– Dlaczego? Mogło tak być! Tato leży gdzieś w Borze! Muszę go znaleźć!

Już wkładałem stopę, akurat wtedy gołą, w strzemień, lecz Mitebald wepchnął się przede mnie.

– Nie tak szybko. Trzeba to rozsądnie przemyśleć – powiedział, studząc moje zapędy. – Gdyby tato uciekł tym ludziom, nie ciągnąłby ze sobą konika. Popędziłby jak strzała, byle szybciej wrócić do domu. Sam widzisz, że to, co wymyśliłeś, nie brzmi sensownie. Natomiast ma sens to, że konik zgubił się w Borze i w końcu zawędrował tutaj. Dlatego proponuję, żeby go napoić, bo na pewno jest zmęczony, a potem wejdziemy z powrotem do środka.

– Posłuchaj, Mitebaldzie... – Pokręciłem głową, bo kiedy mówił, naszło mnie wiele myśli, a wszystkie pchały do działania. – Wydaje mi się, że ten konik jest... znakiem. Że wrócił tu po mnie. Nie wiem, czy przysłał go tato, czy sam dobry Bóg. Ale jest znakiem. Muszę ruszyć na poszukiwanie taty.

– No co ty, Silasie! Znakiem?

– Właśnie tak.

Tylko prychnął.

– Możesz sobie myśleć, co ci się podoba. – Włożyłem stopę w strzemię.

– Tato kazał ci tu czekać! „Masz się stąd nie ruszać. Pod żadnym pozorem”, powiedział. I tak powinieneś zrobić. Bądź cierpliwy, on za tydzień wróci.

Zawahałem się, choć jeszcze sekundę temu nie miałem żadnych wątpliwości. Ale Mitebald czasem tak postępował: potrafił mnie przed czymś powstrzymać albo wzbudzić we mnie niepewność.

– Poza tym nie umiesz jeździć konno – dodał.

– Właśnie że umiem! Ciągłe jeżdżę na naszym Mule.

– Bądźmy szczerzy, Muł jest bardziej podobny do osła niż do konia. A ty też przypominasz teraz osła. Chodź do domu.

– Sam jesteś osłem.

– No już, Silasie. Do domu.

Tak na mnie naciskał, że mało brakowało, a porzuciłbym zamiar. Szczerze mówiąc, jeździłem na koniu dwa razy w życiu i byłem wtedy taki mały, że tato wsadzał mnie na siodło.

Niespodziewanie konik prychnął i rozdał nozdrza, jakby zapraszał mnie na przejażdżkę. Bosą stopę miałem już w skórzanym strzemieniu, więc szybko się podciągnąłem, ale gdy przerzucałem drugą nogę nad zadem konika, stopa ześlizgnęła mi się i poleciałem do tyłu, prosto w błoto. Konik lekko zarżał i machnął ogonem.

– Jasny czort! – wrzasnąłem, wałąc ręką w breję.
– Silasie... – odezwał się cicho Mitebald.
– Dlaczego mnie zostawił?! – wykrzyknąłem. – Samego!
– Nie jesteś sam. – Mitebald kucnął tuż przy mnie.
– Jestem! – Wielka łza raptem spłynęła po moim lewym policzku. – Zostawił mnie tu samego i nie wiem, co robić!

– Posłuchaj, Silasie. Nie jesteś sam. Dobrze wiesz, że masz mnie. – Mówiąc to, patrzył mi prosto w oczy.

– Wiem, ale... – Otarłem policzek wierzchem rękawa. Szukałem odpowiednich słów. – Nie mogę tu zostać, Mitebaldzie, nie mogę. Czuję, że powinienem szukać taty. Czuję to w kościach. Muszę go odnaleźć. Ten konik zjawił się tutaj, żeby mnie zabrać. Nie rozumiesz? Mam z nim jechać.

Mitebald westchnął i spuścił wzrok, kręcąc głową.

– Wiem, że to brzmi wariacko. Może zwariowałem. Siedzę w błocie i sprzecam się z duchem o konika, który pojawił się znikąd. Rzeczywiście wygląda to wariacko!

Lekko się skrzywił. Wiedziałem, że nie lubi słowa „duch”.

– Nie zwariowałeś – odparł cicho.

Spojrzałem na niego błagalnym wzrokiem.

– Dojadę tylko do Boru, obiecuję, nigdzie dalej. Jeżeli teraz ruszę, zdążę wrócić przed nocą. To najwyżej dwie godziny jazdy, prawda?

Mitebald popatrzył na grzbiety wzgórz. Wiedziałem, co pomyślał. A może ja sam to pomyślałem. Od dawna bałem się Boru. Miałem z osiem lat, gdy któregoś razu tato chciał zabrać mnie na polowanie – i wtedy, ni mniej, ni więcej, zemdlałem

ze strachu. W moich oczach drzewa zawsze przybierały jakieś złowieszcze kształty. Pewnie nie przypadkiem, kiedy stałem przy dębie, trafił we mnie piorun.

– I co zrobisz, jak dojedziesz do Boru? Zajrzysz między drzewa, zawołasz „Hop, hop!” i ruszysz z powrotem? Co to da? – Mitebald wyraźnie starał się wyperswadować mi ten pomysł.

– Przynajmniej będę wiedział, że tato nie leży gdzieś tak blisko, że mogę mu pomóc. Nie wpadł do rowu, nie jest ranny... – Zamilkłem, wbijając w niego wzrok. – Proszę cię, muszę jechać.

Odwrócił głowę i wstał, przygryzając wargę. Zawsze tak robił, gdy się nad czymś głęboko zastanawiał.

– No dobrze. Wygrałeś. Nic nie da przekonywanie człowieka, który coś czuje w kościach – przyznał niechętnie.

Chciałem się odezwać, ale on mówił dalej.

– Boso nie pojedziesz! Ani bez kurtki. No i ten konik musi się napić. Najpierw zaprowadź go do poidła i daj mu owsa. Potem zapakuj prowiant. Dopiero wtedy pojedziemy do Boru szukać taty. Pasuje?

Miałem wrażenie, że serce bije mi w uszach.

– To znaczy, że jedziesz ze mną? – Nie odważyłem się go o to prosić.

Z uśmiechem uniósł brwi.

– Pewnie, że jadę, głuptasie.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).